

I/1032

OLSZEWSKA JADWIGA - relacja zawiera pobyt w sowchozie "Bolszewik", rejon Kokpekty, Semipałatyńska obłast od 13 kwietnia 1940r do 1941r. oraz pobyt we wsi Preobrażenka do maja 1944r.

Nazywam się Olszewska Jadwiga z domu Świderska. Urodziłam się 1.11.1923r. w Mogielnicy powiat Trembowla. Tam mieszkaliśmy z rodzicami kilka lat następnie ojciec jako policjant został przeniesiony do Trembowli. Tam w Trembowli uczęszczałam do szkoły podstawowej, do średniej do gimnazjum. W 1939r. ukończyłam czwartą gimnazjum czyli małą maturę. Następnie po wybuchu wojny w 39r. chodziłam do dziewiątej klasy typu rosyjskiego już. I w kwietniu 13, o godzinie 1³⁰ zostaliśmy aresztowani przez NKWD i wywiezieni do Związku Radzieckiego. Przyszli po nas dwóch konfidentów z Trembowli oraz dwóch wojskowych NKWDzistów, którzy nas zabrali po dwóch godzinach pakowania się na dworzec kolejowy. Tam zostaliśmy zawiezieni furmanką i czekaliśmy na transport aby nas wywieźć w głąb Rosji. Ze mną był mój brat Stefan Świderski, matka Olga Świderska. Ojciec był aresztowany w kwietniu, nie, w lutym 40 roku. Z ojcem nie utrzymywaliśmy już żadnego kontaktu. Na stacji w Trembowli czekaliśmy cały dzień, a następnie wyjechaliśmy na dalszą stację Husiatyn, następnie ruszyliśmy w kierunku wschodnim na Kazachstan. Podróż do Rosji przebywaliśmy zgodnie z podanym dziennikiem pisanym przez mego brata Stefana Świderskiego. Na 24 dzień podróży dobrnęliśmy do końca do sowchozu "Bolszewik" i po południu zajechaliśmy do rejon Kokpekty, Semipałatyńska obłast i tam zostaliśmy usadowieni w małym sowchozie "Bolszewik", za godzinę dali nas do małej chałupy, potem przenieśli nas trochę bliżej centralnego punktu i tam zostaliśmy już zarejestrowani do pracy na pobyt stały. Na drugi dzień poszliśmy już do pracy do sowchozu i codziennie byliśmy zmuszani pracować od wschodu słońca do zachodu. Za to otrzymywaliśmy tam przydział chleba po pół kilograma

i zupę zawsze na polu się gotowało. Niepracujący dostawali 200 albo 300 gram chleba dziennie i tak przepracowaliśmy lato na sianokosach albo na plewieniu zboża, inni pracowali w stajniach czyścili tam, mieli prace miejscowe ale większość pracowała latem przy zbieraniu siana lub zboża. Mieszkania te były miejscowych Kazachów, którzy byli na wypasach z bydłem więc musieliśmy również budować sobie takie baraki. Robiliśmy sami tzw. saman, cegłę taką samodziałkę i z tego robiliśmy długie takie baraki, gdzie mieściło się po 5-6 rodzin. Na ziemi to ścieliliśmy taką słomę, wysoki kamysz bo nie było tam podłóg ani żadnej posadzki, więc okładaliśmy cegłami, ogradzaliśmy te legowiska swoje i tam na tym kamyszu ścieliliśmy pościel i tak jedna rodzina obok drugiej spała. Tam wspólną kuchnię też lepiliśmy z siewników, z takich płytek tych żelaznych i po kolei każda rodzina sobie przygotowywała posiłek. Paliliśmy tzw. kiziakami czyli suchym nawozem bydlęcym albo słomą, takim kamyszem, wysoka taka trzcina. Na zimę, kiedy wrócili Kozacy to my musieliśmy opuścić ich mieszkania a sami zajęliśmy te mokre lepianki, które sami pobudowaliśmy i tak zimowaliśmy przy ostrych mrozach do 50^o. Wewnątrz baraku był taki śnieg i szron, że musieliśmy zbierać ten, bo po prostu na głowę nam sypał się śnieg, tak było zimno. Drzwi były niczym nie zabezpieczone po prostu tylko na sznurkach takich wisiały na zawiasach drzwi, bez korytarza, bez żadnych sieni. Bardzo wszystko prymitywne. Dopiero jakieś^{li} przemęczyli się tą zimę pomysłaliśmy aby na drugi już rok gdzie indziej się umiejscowić i poprosiliśmy o zezwolenie aby nam pozwoliła ta miejscowa władza przenieść się dalej na wieś do Preobrażenki. Tam było więcej Ruskich nie sami Kirgizi i tam było prędzej coś dostać można do jedzenia, bo tutaj u Kazachów to tylko mleko, pszenicę, tłuczona mąka, bardzo prymitywne jedzenie i sami oni nie mieli nic, dopiero na zakupy chodziliśmy po 20 km, 30 km do odległych wsi ruskich. I tam dopiero na drugi rok przenieśliśmy

się aby tam u nich zamieszkać i pracować już w kołchozie. Udało nam się przewieźć ten swój dobytek, zabraliśmy na wózek i przewieźliśmy razem matka, brat i ja, przebraliśmy się wszyscy, 30 km od "Bolszewika" do Preobrażenki i tam zamieszkaliśmy u Ruskich w takim, kuchnię oni wynajdywali te przednie chałupy takie przechodnie oni nazywały się i tam myśmy też albo na piecu się spało albo na podłodze swoją pościel gdzie było miejsce tam myśmy ścielili i spali. Za to musieliśmy im pomagać kopać ogród czy tam dzieci pilnować jakichś, musieliśmy odrabiać bo przecież pieniędzy nie mieliśmy aby płacić za mieszkania. Tam już kołchoz nie dawał mieszkania, nie było służbowych mieszkań tylko mieszkaliśmy prywatnie u Ruskich. Do pracy to też chodziliśmy zimą to jak miejscowe roboty były gdzieś tam koło sprzętania obory czy przy młóceniu zboża a latem to plewienie, siano-kos, tak same, podobne roboty jak w sowchozie i też przydziały chleba, dziennie dla pracujących po pół kg, zupa, a dla niepracujących to po 200-300 gram, to zależy kiedy ile mieli. No i później jak w roku obrachunkowym to dawali jeszcze po parę kilo pszenicy, tam po 50 czy 30 kg zboża za roczną pracę aby sobie ile tam wypadło na tzw. trudne dni, ile kto wyrobił zależy ile była norma, czy po sto czy po 200 gramów to każdy dostawał te... Mieliśmy wolny czas to jesienią chodziliśmy jeszcze do Ruskich do kopania ziemniaków, do ogrodu, im pomóc sprzętać i za to też dodatkowo zarabialiśmy ot jakiejś kapusty na zimę czy ziemniaki. Dodatkowo żeśmy sobie dorabiali bo to nam nie wystarczało. No mieliśmy jeszcze niektóre rzeczy z Polski z sobą zabrane, ubrania jakieś, pościel, obrączki ojca sprzedaliśmy za 8 kg pszenicy, mieliśmy jeszcze jakieś obrusy, prześcieradła cośmy ze sobą zabrali. To też sprzedawaliśmy za chleb, za ziemniaki, chodziliśmy do Ruskich, ale później ruscy też już nie chcieli nic kupować bo sami nie mieli. Mężowie byli na froncie, dzieci mieli dużo,

nie mieli czym karmić, nikt nie chciał dać ani grama chleba, najwyżej tam buraki, kartofle czy coś mogli dać bo sami nie mieli się też czym karmić. Dlatego mieliśmy problemy z tym i nawet sprzedaniem swoich najdroższych rzeczy nawet biżuterii. Na zmiany też chodziliśmy od wsi do wsi bo szukaliśmy, że może ktoś potrzebuje. Na miejscu nie było, to za 20 km druga wieś była, pytaliśmy się, czy może nie potrzebują czegoś, czy może do roboty ktoś nie potrzebuje. I raz szłam tak do drugiej wsi odległej 30 km i idąc sama, była taka dosyć mroźna pogoda, tak do połowy drogi, tak do 15 km doszłam, patrzę się a tam w stogu w sianie jakiś leży taki rudy jak pies, to na pewno był wilk, ale był zwinięty w kłębek i bałam się czy on mnie zauważy czy nie. Co mam robić? Nie mogłam się nigdzie cofnąć, bo tu był step, równina nic nigdzie nie było żadnego ani drzewa, a on tak w stogu siana się schował i spał. Ja z bardzo wielkim strachem w jakiejś odległości może 4-5 metrów od tego stogu przeszłam drogą, nawet się nie oglądałam tylko się modliłam, bałam się iść, czy szybko czy uciekać, czy aby nie słychać skrzypu tego śniegu. Bałam się no ale już odeszłam tyle kilometrów, to widziałam, że on dalej leży. Jak już nie widziałam stogu i strach mi minął. Widocznie nie był głodny albo bardzo zmarzł i głęboko się zarył w sianie i nie zauważył. Tak żeśmy się nieraz po dwoje, troje wybierali ale w tym wypadku akurat jedna osoba została bliżej a ja jeszcze się wybrałam parę km dalej do drugiej wsi i myślałam, że później jeszcze wrócę do niej i dlatego tak poszłam. Zawsze szliśmy po dwie, trzy osoby wybieraliśmy się. Po drodze były różne tzw. burany, zamiecie. Były nawet wypadki, że ludzie zamarzały, osoby, które były zmęczone usiadły, zasnęły to i często się zdarzało, że były śmiertelne wypadki zamarznienia. Mało się kto, bał wypuszczać sam w taką drogę. Tam mieszkaliśmy do, w maju w 43, to brat został wzięty do I Dywizji Kościuszki, a w 42r. jeszcze przed tym to chciano nam dać paszporty z obywatelstwem ruskim, radzieckim. Myśmy nie chcieli przyjąć tych paszportów to

Salsowiet kazał nas wyrzucić z tych prywatnych kwater ruskich, chodzili po mieszkaniach i kazali nas wszystkich wyrzucić i dlatego więcej jak dwa tygodnie siedzieliśmy na stepie. Deszcz padał, to był kwiecień, ze śniegiem. Było zimno i musieliśmy tam koczować bo nie wolno nam było mieszkać w mieszkaniu dlatego, że nie chcieliśmy przyjąć sowieckiego obywatelstwa. Dopiero potem nas zabrali do Solsowietu i kazali, niektórych opornych powywozili do Karagandy, gdzieś tam na roboty. A mnie po prostu zostawili dlatego, że ja miałam tam na wyżywieniu matkę. Matka nie pracowała bo była chora więc mnie jeszcze zostawili, a samotnych to wywozili przeważnie na roboty do kopalni, dla tych opornych. Tak przeżyliśmy do 43 roku, a potem żyliśmy już w dwójkę. Brat był na froncie. Z początku nic nam nie pomagał, bo sam nie mógł. Dopiero jak był oficerem, miał stopień oficerski po jakimś roku czasu to zaczął nam pomagać. Przysyłał tzw. atestat część swoich poborów przekazał na nasze nazwisko i przychodziło pocztą, to już nam było troszkę łatwiej, bo mogliśmy sobie coś za to kupić. Raz nawet paczkę odzieżową przysłał, tośmy sprzedali tam rzeczy, jak już byli na terenie niemieckim. Atestat przysyłali w granicach 600 rubli. A na końcu już przed samym wyjazdem, mieli nas już do Polski wywozić, to już przepadło nawet na pocztę nam już nie oddawali tego atestatu, bo spodziewali się, że już i tak nie będziemy dochodzić, że nas nie ma i nie będzie za miesiąc, dwa, to już. Zawsze chodziliśmy na pocztę i pytaliśmy się to mówili, że jeszcze nie przyszło. Ale później już za dwa miesiące, gdzieś w maju nas zabrali, wywieźli. Myśmy podarowali ten atestat i zabrali nas, wywieźli na stację, tam kilka dni jeszcze trzymali, dopóki nie podstawili wagonów, ale też na stepie nocowaliśmy, czekaliśmy na puste wagony. Też w towarowe wagony nas załadowali i pojechaliśmy w kierunku na

Taszkient, już inną trasą, południem jechaliśmy. I jechaliśmy też przeszło miesiąc do Polski, bo od pierwszych dni maja ~~do~~ aż przybyliśmy do Nowogardu, do Polski 8 czerwca. Tu nas przywieziono do PUR-u, rozdzielono, każdemu dano takie mieszkanie jakie były poniemieckie, wolne i po paru dniach, jeszcze do PUR-u chodziliśmy ze dwa tygodnie na obiady. Później dopiero szukaliśmy gdzieś pracy gdzie kto mógł. Ja sobie znalazłam pracę w starostwie w Nowogardzie i tam pracowałam, była stołówka to z mamą chodziliśmy tam na obiady, zarabialiśmy parę groszy i tak zaczęliśmy życie. Dostawaliśmy ubrania i tak się ułożyło nasze życie, a po pół roku znaleźliśmy dopiero brata. Brat był w wojsku, był w Przemyślu i dopiero się nami zaopiekował i tak żeśmy sobie ułożyli życie w Polsce. A z Przemyśla potem do Koszalina my razem z bratem zostaliśmy przeniesieni, bo brat dostał tu mieszkanie i zabrał nas do Koszalina i tak mieszkamy do dzisiejszego dnia już przeszło 40 lat.

Zmiejko